NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 60 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 84 halerzy, za wiersz jednoszpaltowy nonparelowy 1·20 kor.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119.

Numer pojedyńczy 1 koronę.

Rok XVI. Kraków, 1 lutego 1919. Nr. 5

Zamach Czechów na Śląsk.

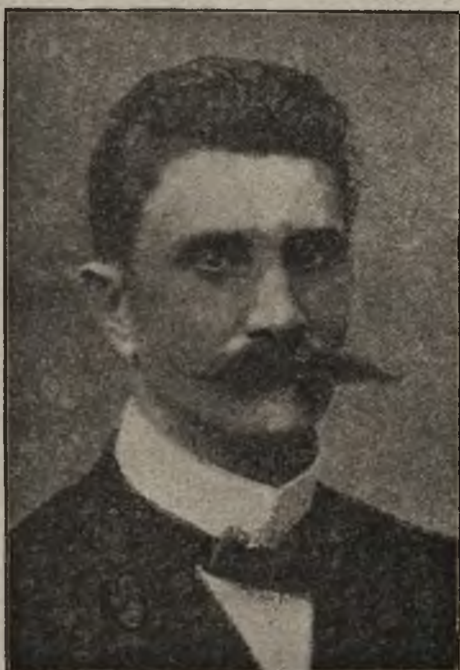


1) Wyjazd z szybu węglowego. 2) Wielka koksownia na Śląsku. 3) Ganek podziemny w kopalni. 4) Krzyżujące się przejście podziemne.

Zamach Czechów na Śląsk.

W chwili, gdy Polska walczyć musi na trzech frontach, zdradny sąsiad, którego piękne słówka i obietnice starały się oddawna uśpić naszą czujność, ruszył zbrojno w granice Polski, aby odebrać nam rdzennie polską ziemię. Czesi niespodziewanie wpadli na polski Śląsk i opierając się rzekomo na powadze koalicyi usiłują nam odebrać nieocenione skarby ziemi, jakie Polska na Śląsku posiada.

Zręcznie bardzo zakrzątnęli się Czesi około sprawy swojej i pozyskali państwa koalicyjne dla imperyalizmu czeskiego. Kontury jego dzisiaj rysują się już jasno. Ma on objąć Czechy, Morawy i Śląsk,



Wybory w Krakowie: Poseł Ignacy Daszyński.

oraz całe północne Węgry, a może nawet i części galicyjskiego Podkarpacia — tak, aby Czesi uzyskali swobodny dostęp do Rumunii i Ukrainy, a równocześnie odcięli Polaków od Austryi, Węgier i Tryestu. Skutki tego odcięcia dają się nam już dzisiaj odczuć. Swobodna komunikacya z Wiedniem jest przecięta — a zwłaszcza dowóz broni i amunicyi jest stamtąd dla nas uniemożliwiony, podczas gdy broń ta i amunicya otwarcie i łatwo dostarczana jest z Wiednia kolejami czesko słowackiemi



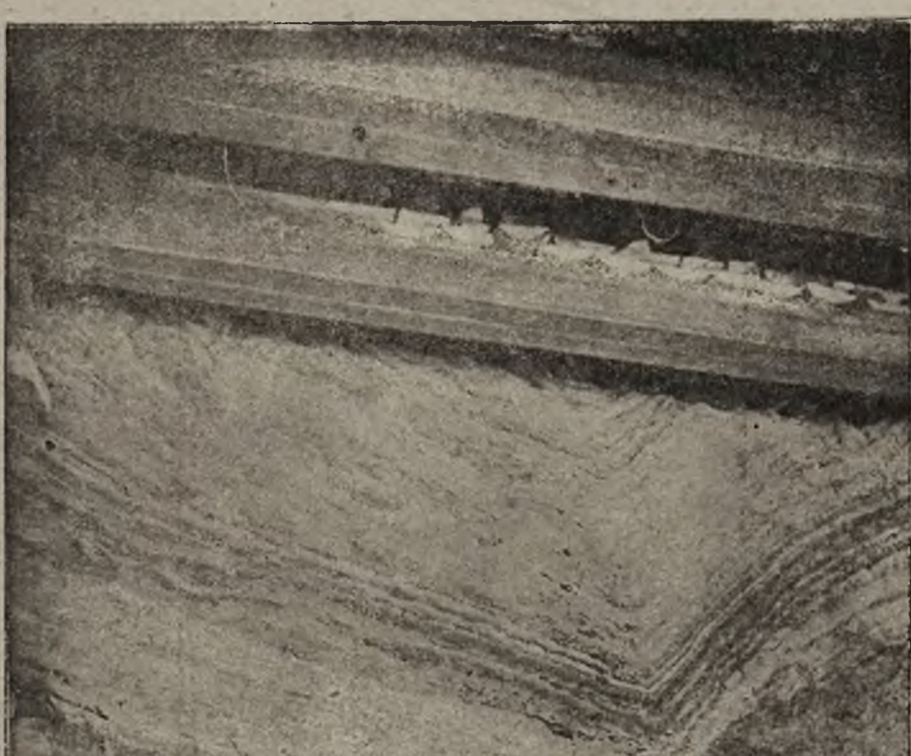
Wybory w Krakowie: Agitacya syonistów na Kaźmierzu.

dla walczących z nami Ukraińców. We wszelkich dziedzinach przemysłu jesteśmy już dzisiaj uzależnieni od Czechów, którzy fakt ten potrafią wyzyskać z całą bezwzględną brutalnością.

Wiadomość o ich zamachu na Śląsk cieszyński, zamachu, zapomocą którego chcą nam zabrać nietylko polską ziemię i ludność, ale także bogate kopalnie węgla, dopełniła miary. Kraj nasz cały wre oburzeniem i przygnębieniem. Jeśli Czesi sądzili, że grożący nam atak bolszewików ze strony Litwy, Niemców od Wielkopolski, Ukraińców ze strony Lwowa przytępi naszą wrażliwość na zabór Śląska cieszyńskiego — to obliczenia ich są mylne.

Zamach na Śląsk rani uczucia polskie w sposób jak najdotkliwszy, a ten fakt, że dokonany został — jak przynajmniej twierdzą Czesi — za aprobatą koalicyi, nie zmniejsza bynajmniej wrażliwości na ten cios. Nie chcemy zresztą narazie temu wierzyć. Mocarstwa koalicyjne, gdyby zgodziły się na zadanie Polakom takiego ciosu, prowadziłyby politykę zupełnie niekonsekwentną. Z jednej bowiem strony obiecywałyby Polakom silną i żywotną Polskę, z drugiej strony stwarzałyby dla niej od zachodu niebezpiecznego wroga, który dla utrzymania w swojem ręku niesłusznie zabranej polskiej ziemi, podburzałby przeciwko Polsce wszystkich jej nieprzyjaciół, wiązałby się z nimi politycznemi sojuszami i podkopywałby jej egzystencyę na każdym kroku. Polska będzie miała na przyszłość — tak jak miała zawsze w przeszłości — niesłychanie trudne stanowisko, wciśnięta pomiędzy dyszące chęcią rewindykacyi Niemcy i Austryę, między młot i kowadło. Jeśli koalicya chce stworzenia dla Polski możliwych warunków bytu, nie może zaogniać sporu polsko-czeskiego tak, aby pomiędzy Czechami a Polską powstała jakaś Alzacya. Bo że ziemia śląska odebrana Polakom, nie zostanie przez nich nigdy dobrowolnie opuszczona, o tem możemy Czechów zapewnić. Ale to powinna także rozważyć koalicya.

Na Śląsku ludność polska jak jeden mąż stanęła pod bronią. Kto tylko umie dźwignąć karabin walczy dzisiaj w szeregach śląskich. Polacy ani piędzi ziemi nie ustąpią dobrowolnie. Jednak Czesi przygotowali swą akcyę bardzo sprytnie i dlatego osiągnęli w pierwszych dniach walk znaczne korzyści.



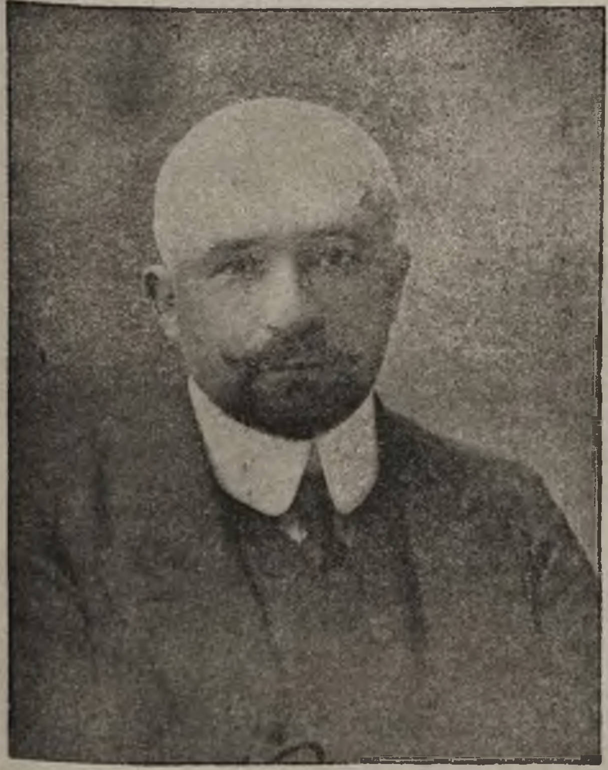
Praca w kopalni w najgłębszych sztolniach.



Zamach Czechów na Śląsk: Górnik kuje minę do wysadzenia. (Lip. b. pr.)

Wybory w Krakowie.

Dnia 26 stycznia 1919 r. będzie pamiętny jako dzień wyborów do pierwszego sejmu w wolnej Polsce. W Krakowie dzień ten — wbrew przewidywaniom — minął w powadze i skupieniu, świadcząc o dojrzałości społeczeństwa polskiego. Mimo gorączki agitacyjnej, mimo roznamiętnienia walką dwóch obozów: bloku stronnictw narodowych i obozu socyalistycznego, wybory odbyły się w zupełnym



Wybory w Krakowie: Poseł socyalistyczny Zygmunt Klemensiewicz.

spokoju i jedynie na Kazimierzu walka wyborcza wśród żydów zaznaczyła się kilku starciami.

W chwili, gdy to piszemy, nieznane są jeszcze wyniki wyborów. Jedynie na podstawie prowizorycznych obliczeń można stwierdzić, że w Krakowie mają wybór zapewniony z listy narodowej prof. Grabski, adw. Bardel i prawdopodobnie prezydent miasta Krakowa Federowicz, a z listy socyalistycznej Ign. Daszyński, dr. Bobrowski i Klemensiewicz.

Dopiero za kilka dni po obliczeniu głosów we wszystkich okręgach wyborczych będzie wiadomy ostateczny wynik wyborów, który ustali fizyonomię polityczną sejmu ustawodawczego w Polsce. Zaznaczyć tu jednak należy, że ten pierwszy sejm zmartwychwstającej Polski nie będzie wyrazem całej Polski, która walcząc z najazdem zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie nie mogła dokonać wyborów w Poznańskiem, w Galicyi wschodniej i na Śląsku.

Kapelan wojsk Hallera w Krakowie.

Do Krakowa przybył ks. Stanisław Iciek, kapelan wojsk jenerała Hallera.



Walka z bolszewizmem w Niemczech: Spartakiści zdobywają redakcyę „Vorwärts" w Berlinie.

Gość amerykański w mundurze wojsk polskich armii Hallera z rangą kapitana jest postacią niezwykle sympatyczną. Z jego zdrowej, rumianej twarzy bije szczerość i otwartość. Z głębokiem rozrzewnieniem witał ziemię polską, której dotychczas jeszcze nie oglądał. Z głęboką radością wjeżdżał w jej granice, pewny, że w Krakowie, Warszawie i Poznaniu nie ma już sztandarów państw najeźdźczych, lecz nasze ukochane polskie.

Ksiądz. Stanisław Iciek, proboszcz w Duluth (Minesota) od początku wojny był czynny, zbierając w swej parafii składki na głodnych w Polsce. Miasto, w którem jest proboszczem, choć liczy tylko 600 rodzin polskich, złożyło na ten cel 20 000 dolarów (280 000 koron) i dało 650 rekrutów do wojska polsko-amerykańskiego. Był też ks. Iciek bardzo czynnym w pracy Czerwonego Krzyża amerykańskiego. Oddał na użytek tej organizacyi swoją halę szkolną, w której w godzinach popołudniowych i wieczornych robiono bandaże, szyto bieliznę dla wojska i t. d. Pracowało tam około 150 osób dziennie. Ks. Iciek należał też do wszystkich organizacyi wojennych i wygłaszał liczne odczyty.

Z Ameryki przybył ks. Iciek do Francyi w październiku 1918 r. Rząd francuski z całą gotowością, dodawszy mu do towarzystwa porucznika francuskiego, umożliwił zwiedzenie w samochodzie pól bitew we Francyi. Potworne spustoszenia miast i wsi uczyniły na księdzu Iciku niezatarte wrażenie. Obowiązki kapelana armii generała Hallera pełnił u wojsk, które walczyły pod Reims, Verdun, Epernay i t. d.

Obecnie ks. Iciek wybrał się do Polski, aby tu na miejscu zapoznać się ze stosunkami, warunkami życia, z kwestyą przemysłu po wojnie, lokaty w Polsce kapitałów amerykańskich, a przedewszystkiem, aby zbadać w jaki sposób Polonia amerykańska i Ameryka będą mogły przyjść Polsce z pomocą. W tym celu zwiedzi największe polskie miasta; zwiedzi nadto pola walki (we wschodniej Galicyi i Królestwie). Ks. Iciek pragnie także bliżej zapoznać się z kwestyą rządową. W jak najkrótszym czasie po zwiedzeniu Polski pragnie powrócić do Ameryki, aby Polonię tamtejszą poinformować o sytuacyi w Polsce, pobudzić do dalszych ofiar rozpocząć akcyę ratunkową i również, aby informować publiczność amerykańską w prasie i za pomocą wykładów o kwestyi polskiej.

Zgon wybitnego Amerykanina.

Bodaj czy nie najświetniejszy przedstawiciel tętyzny amerykańskiej zstąpił do świata cieniów.

Teddy, jak cała Ameryka poufale zwała Roosevelta, był przez szereg lat bożyszczem swych ziomków. Całkowity człowiek w pełnem tego słowa znaczeniu. Człowiek czynu i idei. Wielki charakter i wielki umysł. To dało mu niebywałą wprost popularność, to wyniosło go na czoło narodu.

Urodzony 27 października 1858 r. w Nowym Jorku z rodziny ongi holenderskiej, po ukończeniu studyów uniwersyteckich przez dwa lata był członkiem nowojorskiej legislatury, poczem na kilt kilka przeniósł się w dzikie stepy północnej Dakoty. Polityka jednak nie dała się w nim zabić łowami na dzikie bawoły. Powrócił do niej w roku 1886 i piastował kolejno różne urzędy obywatelskie, coraz więcej zyskując miru. W chwili wybuchu wojny

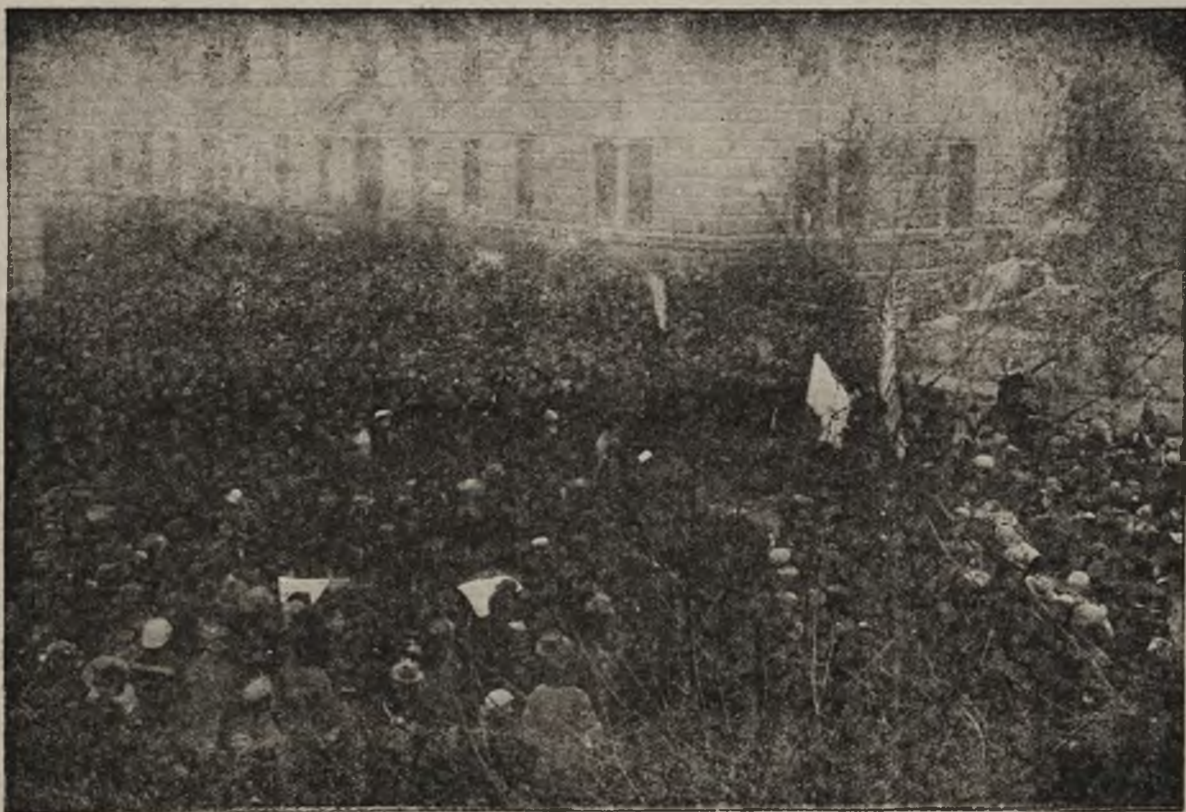


Wybory w Krakowie: Poseł dr. Emil Bobrowski.

z Hiszpanią, porzucił wszystko, by razem z lekarzem Leonardem Woodem sformować słynny regiment kawaleryi „Roosevelt Rough Riders". Jako pułkownik na czele swych hufców dokazywał cudów waleczności na Kubie, czem tak sobie ujął rodaków, że w listopadzie 1900 r. wybrany został wiceprezydentem Stanów. Gdy dnia 14 sierpnia 1901 Mac Kinley padł ofiarą morderstwa, Roosevelt automatycznie zajął jego miejsce, a po upływie lat czterech ponownie objął ów urząd, tym razem już na podstawie wyboru. Jako nieprohamowany antagonista trustów naraził się możnowładcom finansowym, którzy też utrącili jego kandydaturę w roku 1912, gdy przeciw Taftowi sięgnął znowu po godność prezydenta.



Wybory w Krakowie: Jedna z komisyi wyborczych przy pracy.



Pierwsza misya polityczna francusko-angielska w Krakowie: Manifestacya Krakowian na cześć misyi pod pomnikiem Grunwaldzkim.

Poza działalnością polityczną Roosevelt znajdował dość czasu, by zapisać się chlubnie także w literaturze ojczystej. Pozostało po nim 15 tomów dzieł i to dzieł niepospolitych, w których pełną garścią czerpał z życia. Zwłaszcza „Winning of the West" i „Rand life and the Hunting trail", przedstawiające żywot osadniczy w preryach, należą do żelaznego skarbca literatury amerykańskiej.

Pierwsza misya polityczna francusko-angielska w Krakowie.

Z rozkazu marszałka Focha i na polecenie generała Franchet d'Esperay przybyła dnia 20 stycznia do Krakowa misya francusko-angielska, złożona z generała Barthelemy, pułk. Smitha, majora de l'Etoile, majora Foretham, por. Dalpeche, por. Lamarque i sześciu żołnierzy.

W Krakowie na dworcu powitali misyę przedstawiciele wojskowości z dowódcą gen. okr. krak. generałem Gołogórskim na czele, prezydyum P. K. L., prezydent miasta Federowicz, komisarz pow. krak. Biesiadecki, dyr. Krupiński, przedstawiciele prasy. Na peronie ustawiła się kompania honorowa 4 p. p. z muzyką. Plac przed dworcem zaległy tłumy publiczności i młodzieży szkolnej, uwolnionej od nauki, celem powitania gości. Z chwilą przybycia pociągu, muzyka zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła", a kompania honorowa sprezentowała broń. Gdy pociąg stanął, wśród okrzyków: Niech żyje Francya! Niech żyje Anglia! wyszedł na peron gen. Barthelemy z pułk. Smithem, majorami Foretham, d'Etoile, por. Lamarque, oraz przydzielonym z ramienia naczelnika państwa por. Michałowskim. Gen. Barthelemy przeszedł przed kompanią honorową, poczem weszli wszyscy do salonu dworskiego. Pierwszy przemówił gen. Gołogórski, witając na ziemi polskiej reprezentantów bohaterskich armij francuskiej i angielskiej, sprzymierzeńców Polski. Odpowiedział mu gen. Barthelemy, oświadczając, że Francya zawsze miała w sercu Polskę i życząc jej po tylu latach niewoli, ażeby powstała wielka, zjednoczona i niepodległa. Mowę zakończył po polsku: Niech żyje Polska! Na to zebrani odpowiedzieli gromkimi okrzykami: Niech żyje Francya! Niech żyje Anglia! Niech żyje Clemenceau! Niech żyje Foch! Następnie imieniem miasta przemówił prez. Federowicz, witając reprezentantów Francyi i Anglii, jako prawdziwych zwiastunów słonecznej polskiej wolności. Zakończył okrzykiem: Niech żyje Francya, jak wielka i szeroka — niech żyją jej dzieci — niech żyją ci mężowie stanu, co podjęli świętą misyę pokoju i sprawiedliwości. Niech żyje sławna stolica Francyi, Paryż!

Następnie goście ruszyli do miasta. Pierwszym samochodem jechał prezydent miasta, stojąc. Gdy do drugiego automobilu weszli gen. Barthelemy i gen. Gołogórski, wśród objawów niezwykłego zapału publiczności, obaj generałowie zamienili płaszcze wojskowe i gen. Barthelemy jechał w polskim płaszczu generalskim. Trzecim samochodem jechał pułk. Smith z gen. Lamezanem. Następnymi jechała reszta misyi z oficerami polskimi.

Przez całą drogę, aż do Hotelu Francuskiego,



Kapelan wojsk Hallera w Krakowie. Ks. Stanisław Iciek, kapelan armii gen. Hallera.

gdzie zamieszkali, wznosiły tłumy entuzyastyczne okrzyki na cześć przybyłych, tak drogich, długo oczekiwanych sprzymierzonych gości.

Celem misyi francusko angielskiej jest zbadanie na miejscu zatargu polsko ruskiego, oraz obmyślenie sposobów dla zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi w czasie pertraktacyi pokojowych.

Na cześć gości odbyła się dnia następnego wspaniała manifestacya pod pomnikiem Jagiełły.

Po kilkudniowym pobycie misya francusko-angielska z gen. Barthelemy na czele odjechała do Lwowa.



Pierwsza misya polityczna francusko-angielska w Krakowie: Powitanie gen. Barthelemy kierownika misyi na dworcu w Krakowie.



Zgon wybitnego Amerykanina: Pułkownik T. Roosevelt w otoczeniu rodziny.

Adam Wiaryga-Minicski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

27

Apetytu nie mógł jej odebrać nawet silny zapach kwaszonej kapusty, której nie znosiła.

– Znowu kapusta – pomyślała z rezygnacyą. – Ano trudno, zje się i to.

Kupiła bilet i cierpliwie czekała swej kolei, bo wszystkie miejsca przy stołach były zajęte. Wraz z nią czekało jeszcze kilka innych osób, prawdopodobnie równie głodnych i równie przeziębłych. Młoda panienka z twarzyczką ładną, ale smutną i anemiczną, wysoki starzec o suchym, pięknym jastrzębim profilu, zabezpieczony od kilkunastostopniowego mrozu zrudziałą peleryną, młody mężczyzna w paletku, usiłującem bez powodzenia udawać zimowe, żołnierz wsparty na lasce, mizerna kobieta ze sfery robotniczej z dzieckiem na ręku.

Jakaś zamaszysta jejmość w niemodnym kapeluszu z wielkim kwiatem i staroświeckiej czarnej mantyli z hałasem odsunęła krzesło i wstała od stołu.

– A to ja tu przyszła, żeby porządnie zjeść niby, że to w „obywatelskiej" kuchni sami obywatele jadają. A tu, za przeproszeniem Boga i ludzi, takie żarcie, żeby się świnia nie chwyciła!...

Miejsce po niezadowolonej z „obywatelskiego" jedzenia jejmości zajęła zaraz panna Ożarska.

Zwróciła się do usługującej dziewczyny i podając jej swój bilet rzekła:

– Proszę pani, bo mnie się spieszy..

Ale tamta nie zwróciła na nią uwagi, bo właśnie w tej chwili dowodziła uparcie sąsiadowi panny Ożarskiej, że nie może mu przynieść kromki chleba, dopóki nie otrzyma od niego odcinka karty chlebowej.

– Cóż ja zrobię, jeżeli zapomniałem dziś wziąć karty ze sobą? – rozłożył bezradnie ręce mężczyzna.

Usługująca wzruszyła ramionami.

– To co ja temu winna? Ja nie mogę dać chleba bez karty.

– Przyniosę jutro.

– Aha! właśnieby każdy tak powiedział!

– No, to już doprawdy nie wiem, jak ja zjem tę waszą zupę, jeżeli nie będę miał do niej przynajmniej kawałka chleba.

– Ja nie poradzę nic.

Panna Julia słyszała tę rozmowę, widziała zakłopotaną minę sąsiada i nagle żywo sięgnęła po swoją kartę.

– Pozwoli pan – odezwała się z pewną nieśmiałością, która ją cechowała zawsze w stosunku do mężczyzn – że panu pożyczę odcinek z mojej karty.

– Ah, byłbym niesłychanie wdzięczny, bo ta panienka jest nieubłagana.

Za chwilę przed obojgiem stały talerze napełnione brunatną cieczą, w której pływały dość skąpo ziarna kaszy, obok talerzy leżały dwie cienkie kromki ciemnego, „wojennego" chleba.

– Znowu zupa z brudnej ścierki – westchnął jakiś nowy stołownik, zajmując opróżnione krzesło.

Ale panna Julia i jej sąsiad zabrali się do jedzenia z apetytem. Zupa wprawdzie pozostawiała dużo do życzenia pod względem smaku i nie zdradzała niczem absolutnie obecności jakiegokolwiek tłuszczu, była jednak gorąca i miała trochę kaszy w sobie. Zawartość talerzy i kromki chleba zniknęły szybko.

– Wybawiła mnie pani z kłopotu – przemówił do panny Ożarskiej sąsiad – bo przy takiej zupie bez kawałeczka chleba to doprawdy trudno.

Głos jego miał ciepły, miły dźwięk. Był to mężczyzna mniej więcej trzydziestokilkoletni, szczupły, wysoki, z delikatną żółtawą cerą, łagodnemi niebieskiemi oczyma i bardzo ładnie pod ciemnym wąsem wykrojonemi bladoróżowemi ustami. W wyrazie twarzy jego, w ubraniu trochę zaniedbanem, w sposobie zaczesywania bujnych, ciemnych włosów było coś, co naprowadzało na myśl o artyście.

Panna Ożarska rzuciła na niego spojrzenie z ukosa i zarumieniła się jak podlotek.

– Tak, rzeczywiście, teraz to takie kłopoty z temi kartami – bąknęła.

– Człowiek składa się obecnie z duszy, ciała i przeróżnych kart – ciągnął mężczyzna z żartobliwym uśmiechem – a jak to źle, jeżeli się jest przytem zapominalskim. Wczoraj naprzykład wystałem się w „cukrowym ogonku" i jak się już ostatecznie docisnąłem do sklepu, okazało się, że zapomniałem karty na cukier. No i naturalnie musiałem odejść z kwitkiem. Dzisiaj trzeba będzie stać znowu na takiem zimnie. I to kto wie jeszcze, czy dostanę.

Zakaszlał sucho.

– A... a czy pan nie ma nikogo, jakiejś może kobiety, którаby panu to załatwiła? – zapytała panna Ożarska, dziwiąc się sama sobie, skąd się jej na tyle śmiałości zebrało.

– Niestety nie mam. Jestem zupełnie sam.

Biedak – pomyślała Julia i serce jej żywiej zabiło współczuciem. Zapragnęła dopomódz temu człowiekowi, w którym intuicyjnie odgadywała naturę nieporadną, do ciężkich warunków „wojennego" życia „poza frontem" nieprzygotowaną.

Wahała się jednak przez chwilę, walcząc ze swoją wrodzoną lękliwością.

– Proszę pana – zdobyła się nareszcie na odwagę – jeżeli pan chce, to jabym panu mogła kupić tego cukru. Mam znajomy sklep, a że przy tem będę i dla siebie dzisiaj kupowała...

Była to nieprawda, bo cukier kupiła już sobie kilka dni temu.

Oczy mężczyzny rozbłysły.

– Rzeczywiście?! Pani byłaby tak dobrą?!

– Ależ to drobnostka...

– Och! Dla mnie to wcale nie drobnostka! Dziękuję, bardzo dziękuję... Pani pozwoli, że się przedstawię... Jestem Milewicz.

– Ożarska – przedstawiła się krótko Julia, a kiedy sucha, ciepła ręka mężczyzny uścisnęła mocno jej dłoń, różowy obłok rumieńca powlókł zwiędłą twarz podstarzałej panny.

– Więc jeśli pani tak łaskawa, to ja zaraz... – sięgnął do kieszeni po portfel i przez chwilę pilnie przeglądał jego przegródki.

– Masz tobie! Zapomniałem w domu karty cukrowej! – zawołał z komiczną rozpaczą.

Julia o mało co nie roześmiała się głośno, ale zaraz zatrwożyła się.

– Czy pan tylko aby karty nie zgubił? Bo to byłby straszny kłopot.

– Ah! nie... nie. Mam ją napewno w domu.

– No, to niechże pan nie zapomni jutro przynieść. Tylko już trzeba sobie to dobrze zapisać w pamięci – upominała Julia, ośmielając się coraz więcej.

Ten wysoki mężczyzna z miłą, przystojną twarzą, zaczynał na niej robić wrażenie starego dziecka, które gwałtownie potrzebuje opieki.

– Będę pamiętał, ale co za szkoda... Już trzeci dzień piję gorzką herbatę – westchnął Milewicz.

– Ależ on się powinien dobrze odżywiać! – zadecydowała w myśli panna Ożarska. – Taki mizerny!... I on herbatę musi pić bez cukru!

– To możeby pan przyniósł tę kartę jeszcze dzisiaj w porze kolacyi. Ja wprawdzie kolacyi tutaj nie jadam, ale...

– Gdzieżbym ja śmiał tak panią trudzić! Gdyby pani była łaskawą podać mi swój adres, to jabym do domu...

Julia dziwnie zmieszana i w głębi serca trochę rozradowana powiedziała adres swego mieszkania.

– Od siódmej godziny jestem w domu...

– Stawię się punktualnie... Pani zapewne mieszka z rodziną?

– Nie... nie mam tutaj rodziny. Mieszkam zupełnie sama.

– To tak, jak i ja.

– Może to nie wypada, żeby on do mnie przychodził – przebiegło pannie Ożarskiej przez głowę – pierwszy raz go widzę... nie wiem nawet, co za jeden. Ale to zapewne jakiś porządny człowiek. Takie sympatyczne robi wrażenie.

– Niech pan tylko uważa, żeby pan nie spadł ze schodów idąc do mnie. Bo schody kręte i wązkie, a gospodarz oszczędza światła, więc najczęściej ciemno.

– Pani, widzę, ma mnie za bardzo niezgrabnego – uśmiechnął się z tej jej troskliwości. Przyjrzał się jej przytem pierwszy raz uważniej.

– Urzędniczka albo nauczycielka – zadecydował – zwiędłe to, niezgrabne, nieładne, ale jakieś bardzo poczciwe stworzenie.

Usługująca dziewczyna podała im drugą potrawę, składającą się z malutkiego kawałka mięsa, oblanego jakimś wątpliwej wartości sosem, kilka ziemniaków i łyżki kwaśnej kapusty.

Panna Ożarska odrazu bohatersko zaatakowała kapustę, aby ją połknąć jak najprędzej, niby wstrętne a konieczne lekarstwo

Zjadła kapustę i zabrała się do pieczeni z ziemniakami, kiedy opróżnione naprzeciw niej miejsce zajął nowy gość, piękny, elegancki... Kazimierz Rawicz.

Rawicz poznał pannę Ożarską, którą widział kilka razy u Borowickich i ukłonił się. Minę miał trochę zakłopotaną. Nietrudno było poznać po nim, że czuje się nieswoisko w tej mrocznej, prymitywnie urządzonej sali, pełnej wyziewów niewybrednego, źle zgotowanego jadła, że wstręt budzi w nim niezbyt czysta cerata, ordynarne nakrycie i cała ta przygniatająca atmosfera biedy. A jednak musiał tu przyjść. Stanowczo nie mógł sobie pozwolić na droższy, wykwintniejszy obiad. A do Burczykiewiczów nie można przecież chodzić codziennie.

Rawicz nie czekał tak długo, jak inni stołownicy. W jednej chwili usługująca, zgrabna dziewczyna z błyszczącemi oczyma, znalazła się przy nim i położyła przed nim kromkę chleba podwójnej grubości, nie pytając wcale o kartę.

– Nareszcie pan zajrzał znowu... – rzuciła cichutko rozpromieniona – już pana dawno nie było...

W zupie, którą podała Rawibzowi, było stanowczo więcej kaszy niż w talerzach innych stołowników, a przytem po powierzchni brunatnej cieczy pływało kilkanaście autentycznych skwarków ze słoniny.

Jakiś starszy, wynędzniały mężczyzna, z wyglądem głodomora, aż oblizał się.

– Ten to dostał porcyę – mruknął – niema to jak takim...

Rawicz jednak jadł powoli, z widocznym wstrętem, jakby mu ta zupa z kaszą i skwarkami nie chciała przejść przez gardło. Nie dokończył też swojej porcyi.

– Nie smakowało? – szepnęła dziewczyna, stawiając przed nim drugie danie – żebym to ja naprzód wiedziała, że pan przyjdzie. Ale pieczeni to już najlepszy kawałek wybrałam.

Dwie koleżanki jej trąciły się łokciami.

– Widzisz, jak się Zośka kręci koło tego szykownego faceta. Skacze jak na sprężynie i najlepsze kąski dla niego wybiera. A on ci i tak gwiżdże na nią.

– Ale też to śliczny chłopiec, bo śliczny.. Taki to się i przyśnić może – odszepnęła sentymentalnie druga – aż mi dziwno, że taki elegancki pan do naszej kuchni przychodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Młodzi bohaterowie.

W walkach pod Niżankowicami, które toczyły się w połowie grudnia ubiegłego roku, poległo, jak wiadomo, kilku uczniów gimnazyum w Przemyślu, którzy owiani gorącą miłością Ojczyzny ponieśli dla Niej swe życie w ofierze.

Wychodząc ze stanowiska, że tym dzieciom-bohaterom należy się zasłużona szersza wzmianka o ich życiu i zasługach od społeczeństwa polskiego, podajemy garść szczegółów z ich życia.

Wacław Motyka, plutonowy 10 p. p., uczeń



Młodzi bohaterowie: Stanisław Osostowicz uczeń VII klasy gimn. na Zasaniu, zginął pod Niżankowicami.

VIII. klasy gimn. w Przemyślu na Zasaniu, urodzony w r. 1901 w Rzeszowie, syn profesora gimn., z natury usposobienia wesołego, zwany przez kolegów Kaziem, pełen polotu idealowego, odznaczał się nadzwyczajnym talentem organizatorskim. On organizował przesz'o rok kadry P. O. W. w Przemyślu wśród młodzieży, zawołany skaut, utworzył kompanię studencką i był jednym z założycieli kółka filareckiego w gimnazyum. Odznaczył się szczególniej przy brawurowych atakach na nieprzyjaciela,



Młodzi bohaterowie: Wacław Motyka uczeń VIII klasy gimn. w Przemyślu na Zasaniu, zginął pod Niżankowicami

otrzymał też specyalne uznanie od wojskowości za waleczny atak ze swoim plutonem przy zdobywaniu Przemyśla.

Wraz z nim poległ jego serdeczny przyjaciel, Stanisław Osostowicz, sekcyjny tegoż pułku, uczeń VII. klasy gimn. na Zasaniu, syn radcy kolejowego w Przemyślu, jeden z kierowników tajnego związku wojskowego i jeden z twórców kółka filaretów, odznaczył się szczególnie przy zdobywaniu Przemyśla.

Tadeusz Durkacz, syn rewidenta kolej. w Żurawicy, jako nadzwyczaj wzorowy uczeń, pojmował mimo młodego wieku obowiązki swoje bardzo poważnie, odznaczył się szczególnie przy obronie stacyi kolejowej w Żurawicy, gdzie zorganizował młodzież wiejską celem obrony urządzeń twierdzy (t. zw. werków) w Żurawicy.

Tadeusz Kędzierski, żołnierz, syn kontrolora techn. przy Dyrekcyi Skarbu w Przemyślu, w czerwcu z. r. zdał maturę w gimnazyum na Zasaniu, owiany duchem patryotyzmu brał udział we wszystkich przejawach życia narodowego. Nadzieje, jakie zapowiadały jego zdolności złożył w ofierze na ołtarzu Ojczyzny.

Józef Kędzierski, brat rodzony poprzedniego, uczeń VIII. klasy gimn. na Zasaniu, ulubieniec kolegów z powodu swej uczynności i pogody umysłu, jako żołnierz odznaczał się służbistością i ofiarnością z jaką znosił wszelkie trudy wojenne.

Władysław Ryż, żołnierz 10 p. p., uczeń VIII. klasy gimn. w Przemyślu na Zasanin, dzielny towarzysz pracy organizatorskiej ś. p. Kazia Motyki, ciężko ranny pod Niżankowicami, przewieziony do Przemyśla, nmarł dnia 16 grudnia, właśnie w dniu pogrzebu swych kolegów.

Wszyscy polegli ginęli z modlitwą na bladych ustach i ze słowami „oby tylko za Polskę ka olicko narodową".



Młodzi bohaterowie: Tadeusz Kędzierski, poległ pod Niżankowicami.

Na wieść o zgonie najlepszych synów Ojczyzny żałoba okryła cały Przemyśl, to też obrzęd pogrzebowy zamienił się w manifestacyę całego społeczeństwa polskiego w Przemyślu, a w pochodzie wzięło udział przeszło dziesięć tysięcy mieszkańców.

Oby ofiarna śmierć tych bohaterów zachęciła wszystkich Polaków do obrony kresów wschodnich, oby polegli, którzy nie należeli do żadnej partyi politycznej byli przykładem, że dla Polaków jest teraz tylko jedna partya, tylko jedna idea, Polska.



Walki z bolszewizmem w Niemczech: Spartakiści demonstrują na ulicach Lipska. (Lip. b. pr.)



Młodzi bohaterowie: Józef Kędzierski uczeń VIII klasy gimn. na Zasaniu, poległ pod Niżankowicami.

Jubileusz stowarzyszenia.

Wiadomości z ruchu stowarzyszeniowego we Lwowie docierają do nas obecnie ze znacznem opóźnieniem, bo ciężkie warunki nie pozwalają na szybsze komunikowanie się.

Jedno z najstarszych stowarzyszeń lwowskich „Wspólność“ obchodziło przed niedawnym czasem piękny jubileusz. Uczczono go zarazem w ten sposób, że jako członka honorowego powołano w grono stowarzyszonych jedną z najbardziej zasłużonych około rozwoju stowarzyszenia pań mianowicie prezydentową Neumanową.

Uroczystość odbyła się w lokalu stowarzyszenia „Gwiazda“, gdzie odbyło się zebranie członków Stowarzyszenia rękodzielniczego i przemysłowców „Wspólność“, które obchodziło wraz z opłatkiem jubileusz 40 letniej rocznicy założenia. Prezes pan Kazimierz Ligężyński przedstawił krótkie sprawozdanie z czterdziestolecia, a po odczytaniu protokołu z ostatniego walnego zgromadzenia, na którem zamianowano p. Kazimierę Neumannową członkiem honorowym, przemówił dyrektor „Wspólności“ p. Jan Tkacz i wręczył p. Neumannowej dyplom członka honorowego. Następnie przystąpiono do łamania się opłatkiem, przyczem przemówił Dominikanin ks. Fabian Madura, wiceprez. Neumann i inni.



Jubileusz stowarzyszenia: Grupa członków Stowarzyszenia rękodzielników i przemysłowców „Wspólność“. (Fot. M. Münz, Lwów)



Walki z bolszewizmem w Niemczech: Pogrzeb poległych ofiar walk w Lipsku. (Lip. b. pr.)

Walki z bolszewizmem w Niemczech.

Rozpętana przez bolszewików w Niemczech anarchia zaczyna przygasać. Śmierć przywódców ich, Liebknechta i Róży Luksemburg, oddziałała poważnie na upadek ruchu, który miał na celu obalenie rządu Eberta i Scheidemanna.

Stłumienie komunistycznej rewolucyi nie kładzie jeszcze kresu zamętowi niemieckiemu, gdyż anarchiści trzymają się w kilku wielkich miastach, skąd trzeba będzie ich wypierać siłą zbrojną, nie ujęto dotychczas innych przywódców buntu, jak Eichorna i Rühlego, którzy zbiegli z Berlina. W każdym razie zwycięstwo rządu nad rozruchami pozwoliło na przeprowadzenie wyborów do konstytuanty, która dała większość partyom burżuazyjnym.

Wśród ciężkich chwil, jakie Berlin w czasie walk ze Spartakowcami przeżywał, zniszczono także zamek cesarski. Walka o jego posiadanie była długa i krwawa. Kiedy wojska rządowe podjęły ofenzywę przeciw Spartakowcom, zajmowali oni prawie całe rozległe zabudowania zamkowe. Walkę rozpoczęła artylerya, która rano zaczęła ostrzeliwać północne skrzydło zamku. Dwadzieścia granatów padło na zamek, wyłamując wielkie kawałki muru. Marynarze odpowiadali ogniem z karabinów maszynowych. W pół godziny potem trzy oddziały szturmowe, mimo gęstego ognia marynarzy, przypuściły atak do bramy czwartej, wysadziły ją granatami ręcznymi, wyparły marynarzy z dawnych prywatnych apartamentów cesarza i dostały się do białej sali, gdzie rozwinęła się walka pierś o pierś. Po obu stronach było wielu zabitych. Po godzinie dziewiątej marynarze byli już wyrzuceni z zamku i oszańcowali się na placu po drugiej stronie. Równocześnie stajnia dworska, w których znajdowała się większa część marynarzy, ostrzeliwana była z karabinów maszynowych. Marynarze odpowiadali ogniem tak gęstym, że wojska rządowe nie mogły podjąć szturmu.

Około godz. 11 w „Lustgartenie“ grupa Spartakistów, uzbrojona w rewolwery, rzuciła się na oddział wojsk rządowych, rozbroiła go i wtargnęła do zamku, w którym poczęła plądrować. Dopiero silny oddział żołnierzy wyparł bagnetami rabujących.

Walka około stajen między marynarzami a wojskiem rządowem stawała się coraz gorętszą. Marynarzom udało się wziąć 150 żołnierzy rządowych do niewoli. Gdy jednak około drugiej popołudniu broniący się w stajniach marynarze dowiedzieli się, że ich towarzysze z zamku zostali wyparci, oświadczyli gotowość rokowań. W ten sposób walki o posiadanie zamku trwały cały dzień prawie.

Ostateczne zwycięstwo rządu umożliwia Niemcom podjęcie pracy na konferencyi pokojowej. Jednym z reprezentantów, który zastępować będzie interesy państwa niemieckiego będzie obecny minister spraw zagranicznych Brockdorff Rantzau.

Podajemy szereg illustracyi z dni przewrotu w Niemczech.



Walki z bolszewizmem w Niemczech: Pałac cesarski w Berlinie (Lip. b. pr.)

Fred. M. Withe.

Szkarłatna orchidea.

Przekład J. S.

19

Pojechała do domu, a przy obiedzie zwróciła rozmowę ze swym mężem na temat rozprawy sądowej.

— Policya szuka Pawła Lopeza — rzekła — bo przypuszczają, że to on zamordował nieznajomego u ogrodnika przy placu Lennoxa.

— Czy i ty tak sądzisz?

— Każdy tak sądzi — odparła wymijająco. — Podobno opuścił Anglię, ja jednak jestem przekonana, że on ukrył się tu, w Londynie.

— I nie mylisz się — potwierdził Bernstein. — Wiem o tem dobrze, bo dopiero wczoraj chciał u mnie zaciągnąć pożyczkę. Ten człowiek jest wiecznie w kłopotach pieniężnych. Mogę się domyślić, gdzie się kryje.

— Zapewne w swoim klubie karcianym? — wtrąciła od niechcenia pani Iza.

— Słusznie. Stary Chiavari ma w nim zbyt dobrego gościa, aby mu nie miał w biedzie dopomóc. Założyłbym się na sto przeciw jeden, że ukrył się przy ulicy Panton. Czy chciałabyś go może zobaczyć?

Pani Iza skinęła głową.

— Dobrze. Pojadę potem do klubu, a przejeżdżając, każę mu powiedzieć, że go oczekujesz.

Iza zadowoloną była ze swego męża. W pół godziny zaledwie potem zjawił się Lopez. Zaprowadziła go do swego pokoju, gdzie znajdował się telefon.

— Jak odgadłaś, gdzie ja jestem? — zapytał Hiszpan, siadając naprzeciw niej.

— Nie zgaduję nigdy — odparła pani Iza. — Dziś rano widziałam cię w tłumie przy placu Lennoxa. Chciałbyś zapewne zniknąć na czas jakiś, ale na nieszczęście nie masz pieniędzy.

— Trafiłaś prosto w sedno — zawołał z podziwem Lopez. — Coby za cudna para była z nas dwojga, Izo!

— O, tak! — roześmiała się ironicznie. — Ty zwłaszcza okazałbyś się idealnym mężem, którv przegrywałby co rychlej zarobione pieniądze. Że też taka tęga głowa, jaką ty masz, może tak lekkomyślnie postępować! No, a teraz jesteś bez grosza!

— Zgadza się znowu — odparł Lopez spokojnie. — Zdawałoby się, że chcesz mi dopomóc.

— Dlaczego miałabym to zrobić? W Londynie jest tylko jeden człowiek, który byłby skłonnym do tego, a tym człowiekiem jest sir Frobisher. Niestety, przez obawę przed policyą nie możesz się do niego udać.

Znowu bardzo logiczna uwaga — przyznał hiszpan. — Izo, ty rzeczywiście jesteś genialna. Jeśli mnie nie zostawisz bez pomocy...

— To się zaraz pokaże — przerwała pani Iza. — Najpierw powiedz mi, co wiesz o morderstwie przy placu Lennoxa.

— Bardzo mało. Z tą zbrodnią nie mam absolutnie nic wspólnego.

— Ale czy znałeś tego człowieka? Leżał on nieżywy w oranżeryi, w chwili, kiedy ukradłeś orchideę, którą tam przechowywał pan Denvers.

Lopez zbladł.

— Nie kłam! — ciągnęła dalej, spostrzegłszy jego pomieszanie. — Wiem wszystko. Pan Denvers na krótko przedtem opuścił oranżeryę. Czy w oranżeryi była automatyczna pompa?

— Tak — wyjąkał Lopez. — Czy ty istotnie wiesz wszystko, Izo?

— Wszystko! A to z własnego doświadczenia. Jeśli nie wierzysz — ot, popatrz! — Odwinęła rękaw i pokazała mu zranione ramię. — Czy teraz już wierzysz? Któż więc był ów nieznajomy?

— Jego nazwiska nie znam, wiem tylko, że był to grek i że był narzędziem hrabiego Lefroy. Przypłacił on życiem usiłowanie kradzieży rośliny.

— Zupełnie tak, jak ów Manfred — dokończyła Iza. — I mnie pan Frobisher przeznaczył tensam los. Ten łotr taksamo jest winnym zbrodni, jak gdyby był strzelał do mnie. Sądził, że będzie mógł uczynić mnie piłką w swem ręku i licząc na moją próżność, uzyskać błękitny kamień.

— Jednak nie udał mu się ten plan — wtrącił Lopez ze złym uśmiechem.

— Naturalnie, że nie, bo jestem dziesięć razy mądrzejsza, aniżeli on. Byłby jednak wcale nie próbował, gdybyś go ty był nie namówił do tego.

— Ja? — odparł zakłopotany Lopez. — Czy myślisz może...

— O, wiem, żeś ty mu powiedział, gdzie znajduje się błękitny kamień; na tem też chytry lis zbudował swój plan. Więc teraz zrozumiesz, dlaczego z tobą chciałam pomówić.

— Myślałem, że chciałaś mi dopomóc, zo — rzekł Lopez, spuszczając wzrok zmieszany.

— Tobie dopomóc, tobie, coś chciał wtrącić mnie w nieszczęście dla marnej mamony? — Oczy Izy zabłysły teraz płomieniem. — Kiedy jeszcze byłam młodą dziewczyną, otoczyłeś mnie siecią. Dałam ci me serce, kochałam cię, jak nikogo pod słońcem. Ale ty zdeptałeś tą miłość, zdławiłeś ją. Przebaczyłam ci, chociaż mogłam się zemścić. A teraz ważysz się chcieć mnie wyzyskać dla swych celów! Ale przeliczyłeś się tym razem i radzę ci, w własnym twym interesie, byś się zgodził na warunki, które ci postawię. Nie wyjedziesz z Londynu, ale przy następnej rozprawie złożysz pełne zeznanie.

— Czy chcesz naszą tajemnicę obwieścić całemu światu? — zapytał wystraszony Lopez.

— Tak, chcę! Czy wy dwaj, Frobisher i ty, jesteście wobec sądu winni zbrodni, tego nie wiem, ale prawda powinna wyjść na światło dzienne. Nie próbuj więc podejść mnie.

— Lopez szybko zastanowił się nad swem położeniem, rozważając, czy nie będzie mógł wyciągnąć dla siebie jakiej korzyści. Nie zauważył wcale, że pani Iza podeszła do telefonu i rzekła:

— Tak, jestem w domu i czekam. Posłaniec przybył punktualnie.

Kiedy usiadła znowu na swem miejscu, Lopez próbował przekonać ją w korzystnem dla siebie duchu, ona jednak odpowiedzi dawała krótkie i obojętne.

Szkoda każdego słowa — rzekła wkońcu, powstając. — Nie odwiedziesz mnie od mego postanowienia. Ach, pan inspektor — przerwała, kiedy drzwi otworzono i Townsend wszedł. — Przychodzi pan w porę.

Lopez zrobił ruch, jakby chciał uciec, ale już inspektor położył dłoń na jego ramieniu.

Lepiej niech pan pójdzie spokojnie ze mną. — rzekł — Moi ludzie stoją przed domem. Aresztuję pana pod zarzutem zbrodni, popełnionej u ogrodnika przy placu Lennoxa. Czy weźmiemy fiakra?

Lopez milcząco skinął głową — stracił wszelką nadzieję ratunku.

XVI.

Kiedy Frobisher wracał wieczorem ze swego klubu do domu, chłopcy, roznoszący gazety, wołali:

— Nadzwyczajne wydanie! Katastrofa kolejowa w Liwerpolu! Dwadzieścia osób zabitych, wiele rannych! — Morderstwo przy placu Lennoxa! Główny świadek, Paweł Lopez zaaresztowany!

— Daj mi gazetę! — zawołał Frobisher na chłopca.

Pospiesznie chwycił gazetę i nieczytając doszedł do domu. Dopiero w swoim pokoju przeczytał: „Paweł Lopez został zaaresztowany o godzinie dziewiątej wieczorem przez inspektora Townsenda.

— To osioł! — zaklął Frobisher. — Czemu nie przyszedł do mnie po pieniądze, by módz uciec? Byłbym mu chętnie dał połowę mego majątku.

Zirytowany udał się do oranżeryi, ale nawet widok ulubionych kwiatów nie uśmierzył jego wściekłości. Chodząc tam i z powrotem zauważył, że kilka kwiatów orchidei przywiędło; widocznie brakło im wilgoci. Frobisher poruszył wentylator pompy parowej, ale mechanizm chwilowo odmówił posłuszeństwa.

— Czy wszystko sprzysięgło się dzisiaj przeciw mnie? Nawet para nie funkcyonuje dobrze.

Zadzwonił na służącego.

— Zapewne wyjdę jeszcze z domu — rzekł do wchodzącego Armeńczyka. — Kurek przy pompie parowej nie jest w porządku. Odkręć go o jedenastej, a potem raz jeszcze o dwunastej, jeślibym do tej pory nie wrócił jeszcze. Zrozumiałeś?

Hasid skłonił się, szepcąc bezwiednie:

— Spalcie ją! Zniszczcie ją!

— Przestaniesz raz z tem głupiem gadaniem, ty psie! — krzyknął nań Frobisher. — Wynoś się, a nie zapomnij mego rozkazu!

Podczas gdy się tak złościł, odezwał się leciuchny syk: pompa parowa była w porządku — para przez krótką tylko chwilę nie uchodziła z powodu jakiejś nieznacznej przeszkody. Frobisher posłyszał ten syk, a także i Hasid, który z obawy przed gniewem swego pana umknął coprędzej.

Sir Clemens zapalił fajkę i usiadł w fotelu, zagłębiony w ponurych myślach. Jeśli historya cała wyjdzie na światło, jeśli dowiodą, że moralnie on winien jest śmierci Manfreda, bo znał tajemnicę szkarłatnej orchidei, wówczas będzie człowiekiem towarzysko zgubionym. Cała ta historya mogła nadto pociągnąć za sobą jeszcze i oskarżenie sądowe, oskarżenie o zbrodnię zabójstwa. Następnie — jeśli Lopez przyzna się do kradzieży orchidei, on, Frobisher, będzie ją musiał zwrócić. Ta strata byłaby dla niego najboleśniejszą. W całej tej aferze musiała umaczać palce pani Bernsteinowa. Może byłoby dobrze pójść do niej i wybadać, ile ona wie.

Muszę wymyślić jakiś pozór i dziś jeszcze pójdę — pomyślał, paląc fajkę. Powstał też zaraz i przeszedł do salonu, gdzie zastał swą żonę i Angelę, ubrane w strój wizytowy.

Czy jeszcze wychodzicie?

— Tak jedziemy do lady Warrendale; zaprosiła nas na godzinę jedenastą.

— Więc może mnie podwieziecie do placu Belgrave. Mam być u kogoś w tamtej okolicy. Czy Arnott nie był tu przedtem?

Lady Frobisher milczała, Angela zaś, odrzuciwszy dumnie głowę, odparła:

— Owszem był, aby mnie odwiedzić — ale poraz ostatni.

Czy znaczy to, że mu dałaś kosza? — zapytał sir Clemens, rzucając jej złe spojrzenie.

— Ostatecznie. Byłam jeszcze tak uprzejmą, że zachowałam się wobec niego, jak wobec gentlemena, chociaż mogłam sobie tego oszczędzić. A zresztą — dodała z mocą — jeśliby go pan jeszcze sprowadził kiedy, opuszczę pański dom.

Śmiałe to wystąpienie oburzało Frobishera, pomyślał jednak, że rozsądniej będzie nie zważać teraz na upór dziewczyny.

— Każ mnie zawiadomić, Noro, kiedy konie zajadą; będę w cieplarni.

W przedsionku oranżeryi natknął się na Hasida.

— Dokąd? ty psie! — huknął na niego.

Hasid umknął i sir Clemens wszedł do cieplarni. Nagle myśl jakaś przemknęła mu przez głowę.

— Ach, kapitalna myśl! Zdejmę szkarłatną orchideę i schowam ją. A chociaż zeschnie się i skurczy, to nic nie szkodzi. Pod wpływem pary odżyje i rozkwitnie się cudownie. Nie, Denvers nie będzie nademną tryumfował! Powiem poprostu, że skradziono mi ją. Tak, tak, muszę to zrobić.

Ożywiony tą myślą wszedł po drabinie szybko ku wierzchołkowi. W jednej chwili ciało jego znalazło się w sieci zwisających odnóg orchidei. Zniknął śród nich. Gałęzie otoczyły go niby węże.

W pośpiechu począł rozwikłać splątane pędy; nie słyszał nawet, że pompa parowa na dole zaczęła pracować. Powietrze stawało się cieplejsze i wilgotniejsze — nie zauważył tego wcale. Potem jednak nagle uczuł ściśnięcie ręki w przegubie tak mocne i ściskające, jak śrubą. Próbował się uwolnić i wtedy dopiero zauważył rosnącą chmurę pary.

— Boże! Pompa parowa! — zawołał przerażony. — Hasidzie! Na pomoc! Ale Hasida nie było w pobliżu.

Dzika rozpacz ogarnęła Frobishera. Jak szalony rwał się i mocował w pętach. A pęta tymczasem ścisnęły mu klatkę piersiową, a wnet i szyję. Przed oczyma poczęły mu skakać niezliczone iskry — dziki okrzyk wyrwał mu się z gardła, ciało poczęło febrycznie drżeć. Głębokie westchnienie — ucisk począł się rozluźniać — głuchy odgłos spadającego ciała — Frobisher nieżywy spadł na ziemię.

W przedsionku dały się słyszeć głośne słowa. To Harold Denvers żądał widzenia się z Frobisherem.

— Mój pan chce jeszcze wyjść — próbował Hasid go powstrzymać.

(Dokończenie nastąpi.)

Żywność Ameryki dla Europy.

Skoro tylko okazało się, że wojna zbliża się ku końcowi, Ameryka podjęła przy pomocy koalicyi starania, aby przygotować odpowiednie zapasy żywności, któreby można jak najszybciej przewieźć do Europy i zapobiedz klęsce głodu w krajach wojną zniszczonych.

Na czele urzędu żywnościowego, który tą wielką misyą miał się zająć, stanął amerykański minister Hoover. W jego rękach znajduje się cała sieć organizacyi żywnościowej, która ma zapobiedz skutkom klęski wojny. Organizacya ta zakreślona została na wielką skalę. W Ameryce i po części w portach angielskich, francuskich oraz w Szwajcaryi nagromadzono olbrzymie zapasy, które na rozkaz ministra Hoovera mogą być wysyłane do całej Europy w miarę układów żywnościowych, jakie koalicya zawiera z poszczególnymi państwami wojującymi.

W ostatnich dniach bawiła w Polsce misya żywnościowa amerykańska, która imieniem organizacyi ministra Hoovera przeprowadziła układy o dostarczenie żywności dla Polski. Narady odbywały się w Krakowie i Warszawie. Ustaliły one następujące kontyngenty zapotrzebowania dla całej Polski: 1) 200 000 ton mąki pszennej przy wymiale 60 procent zamiast dotychczasowego 90 procent, 2) 77 000 ton ryżu i kaszy, 3) 54 000 ton tłuszczów zwierzęcych, jak słonina i smalec, 4) 2 000 ton mleka kondensowanego dla miast i centrów fabrycznych, 5) 200 ton herbaty, 6) 200 ton kakao i czekolady dla szpitali. Prócz tego zażądano dziesięć milionów metrów sukna, dziesięć milionów metrów płótna i 1 500 000 par butów, ale w tej sprawie umowa obowiązująca nie przyszła do skutku, choć zapewniono nam bardzo wydatną pomoc w tym kierunku.

Sfinansowanie umowy nie nastręczyło większej trudności wobec tego, że równocześnie powołano do życia w Warszawie „Państwowy Urząd zakupu“ jako instytucyę państwową, a potrzebny na razie kapitał 75 milionów marek uzyskano drogą pożyczki od „Banku Towarzystw zarobkowych w Poznaniu“. Kwotę tę 75 milionów marek przyjęła misya amerykańska jako zadatek zdeponowany na jej rachunek w bankach warszawskich. W Warszawie zaś utworzono centralne biuro zakupu pod kierownictwem p. Zamojskiego.

Ze względu na potrzeby ludności polskiej w obecnej porze zimowej konferencya warszawska uzyskała wiążące zobowiązania co do terminów dostawy. Cały umówiony kontyngent podzielono na trzy części, z czego jedna trzecia ma być dostarczoną do końca lutego, pozostałe zaś dwie trzecie kontygentu rozłożono na cztery raty, z których pierwsza wypada najpóźniej 31. marca, druga 30. kwietnia, trzecia 31. maja, a czwarta 30 czerwca.

Żywność, która do Polski przybędzie, przechowywana będzie w oddzielnych magazynach. Administrowane one będą przez ustanowionego inspektora przy pomocy załogi amerykańskiej, która w liczbie 1000 żołnierzy przybędzie do Polski już z pierwszymi transportami dla ich konwojowania w drodze i ochrony na miejscu. Ze strony polskiej powołane będą do współdziałania organa polskie, jako działające z ramienia ministerstwa aprowizacyi w Warszawie.



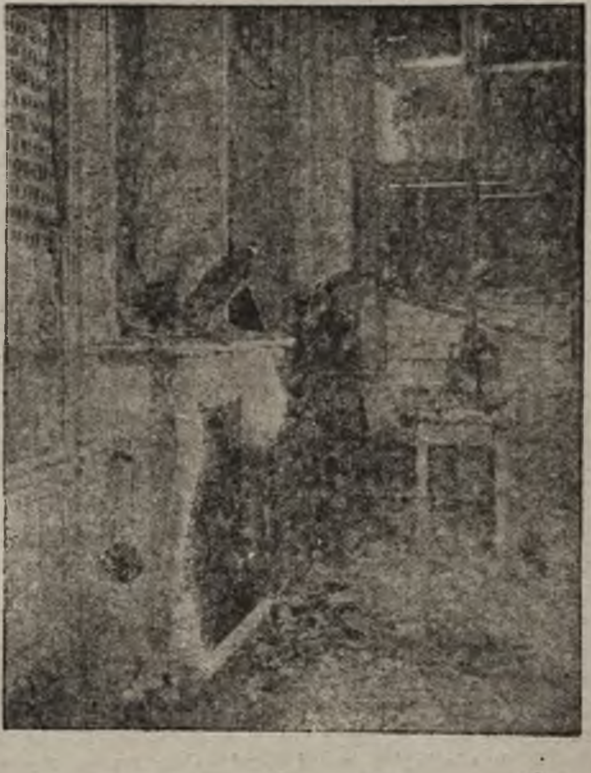
Walki z bolszewizmem w Niemczech: Nowy minister spraw zagranicznych, hr. Brockdorff Rantzau.



Walki z bolszewizmem w Niemczech: Główne wejście do zamku cesarskiego w Berlinie rozbite pociskami.



Walka z bolszewizmem w Niemczech: Prez. policyi, Eichhorn, przywódca Spartakistów.



Walki z bolszewizmem w Niemczech: Rozbity pociskami pokój w zamku cesarskim w Berlinie.

Straszny epilog wojny.

Jak straszną była obecna wojna, tak niemniej okrutnym i barbarzyńskim jest jej epilog — demobilizacya. Oddziały wojskowe, rozpuszczone na frontach, znajdowały się często w położeniu okropnem. Po rozbrojeniu ich zabierano im wszystko, nawet odzież tak, że o głodzie i chłodzie musiały wracać do domów, ginąc często po drodze. Okropnym zwłaszcza był los jeńców rosyjskich, przebywających w obozach Austryi i na Węgrzech. Po zawieszeniu broni puszczono ich wprawdzie, ale bez odzieży, bez żywności. Toteż w drodze ginęli oni z zimna i głodu masami. W Kołomyi, w Stanisławowie i innych stacyach, przez które przejeżdżają jeńcy w drodze do Rosyi z jednego pociągu wynoszono nieraz setki zmarłych w drodze jeńców. Trupy leżały nieraz na stacyi po kilka dni, bo nie miał ich kto pochować. Takie żniwa śmierci wśród powracających jeńców rosyjskich przedstawia zamieszczona fotografia.



Żywność Ameryki dla Europy: Herbert Hoover, dyktator żywnościowy Ameryki.



Straszny epilog wojny: Powracający jeńcy, którzy z głodu pomarli w wagonach, których trupy Ukraińcy powyrzucali na pole.

Kronika tygodniowa.

Ponieważ z woli Opatrzności zastąpionej w danym wypadku przez P. T. Zarząd Drukarni D. E. Friedleina, obowiązany jest kronikarz pracę swą oddać bodaby w większej części już w sobotę, resztę zaś w poniedziałek rano, o wyborach, które się odbyć mają w niedzielę, temsamem trudno więc pisać. Musi się to odłożyć do następnego tygodnia, choć sprawa sama nic na tem nie straci, owszem, jako już zupełnie dojrzała, a nawet przejrzała, omówioną może być tem dokładniej i bezstronniej.

To jedno jest pewnem, że kronikarz *Nowości illustrowanych* swej kandydatury nie zgłosił pomimo zachęty ze strony swej połowicy, a to z powodu, iż nie udało mu się stworzyć nowego stronnictwa i zestawić listy kandydatów i kandydatek. Program, jaki ułożył, był bardzo piękny i byłby niezawodnie znalazł wielu zwolenników, ale na przeszkodzie stanął przedewszystkiem brak czasu, a pozatem i kiełbasy wyborczej, gdyż masarz, mający się zająć jej dostawą, znalazł się niespodziewanie „w ciupie“ za przekroczenie taryfy maksymalnej i wywożenie wędlin za granicę kraju.

Tyle zresztą mamy stronnictw i tyle list kandydackich, że jedna mniej lub więcej nie może chyba zrobić różnicy.

Ale, co się odwlecze, to nie uciecze. Nie zgłaszam swej kandydatury teraz, zgłoszę ją później, gdy sytuacya się wyklaruje, a my będziemy już wiedzieć, jak stoimy. Bo, na razie, nie stoimy, ale leżymy, choć jeszcze nie na obie łopatki.

A jak ta cała agitacya przedwyborcza wygląda, to po prostu pożal się Boże!... Jedni jedyni socyaliści pracują z całym wysiłkiem nad utrzymaniem się na tej platformie, na jakiej się wbrew nawet swym oczekiwaniom znaleźli, drugie miejsce zajmują po nich ludowcy, inne zaś stronnictwa zdają się na łaskę losów i urny wyborczej, która już nieraz była dowodem, że cudy dzieją się jeszcze na świecie.

Kraków z okręgiem wybiera ośmiu posłów obojga rodzaju, kandydatów zaś i kandydatek na te stanowiska można liczyć nie na tuziny, ale na kopy. — Każdy i każda, jak to już zresztą wspominałem, czuje dziś w sobie siłę na męża lub żonę stanu.

Na osłabienie agitacyi przedwyborczej wpłynął także i zakaz sprzedawania wódki. Dwa dni, to jest sobota, jako przeddzień wyborów i niedziela, mają być dniami zupełnej abstynencyi, bez wódki, wina, piwa i miodu. Wolno każdemu natomiast używać na wodzie, ile mu się zechce i spodoba, choć nie jest wykluczonem, że akurat wtedy może pęknąć jaka rura magistracka i pozbawić nas także i tej wilgotności, uważanej przez rząd za neutralną. „Elenterya“ tryumfuje i prosi Pana Boga, aby takie wybory „na trzeźwo“ odbywały się bodaj raz w miesiącu, jeśli nie można częściej.

Dawni agitatorzy, którzy po inne czasy byli w tym okresie *in foribus* i żyli całą pełnią piersi i gardła, dziś, pospuszczali nosy na kwintę i siedzą gdzieś po kątach, powtarzając sobie: „Takie wybory, a żadne wybory, to jedno!“ Po powiatach panowie starostowie pozakładali ręce, nie mając pola do rozwinięcia swej energii, brak bowiem kandydatów rządowych i nikt im nie grozi dymisyą, jeśli inni, a nie oni zostaną wybrani.

Jednem słowem spokój i cisza. Pewien ruch daje się przecież zauważyć w okolicy cmentarzy, gdzie się przeprowadza próbne głosowanie. Ci wyborcy, których się stąd powoła do urny wyborczej, mogą się w samej rzeczy obejść i bez kiełbasy i bez alkoholu.

Na rogach ulic nie widzi się tylu afiszów, zalecających kandydatów i kandydatki, a przyczynia się do tego brak papieru, którego cały zapas obrócono na wyrób monety obiegowej. Tu i ówdzie spotyka się taki afisz, ale jakiś jałowy, nie mający tego ognia i fantazyi, co dawniej. Nie czytałem dotąd ani jednego tak dawniej popularnego wezwania: „Obywatele... stańcie się przy urnie wyborczej jak jeden mąż!“ — gdyż musianoby dodać, aby płci nadobnej nie obrazić: „Obywatelki... stańcie przy urnie jak jedna żona!“

Mało się też słyszy wymyślania od łotrów, złodziei, defraudantów na kandydatów przeciwnego stronnictwa, choć dziś niejednemu z nich możnaby coś wspomnieć, niechby tylko o paskarstwie.

A czy słyszał kto kiedy, aby wybory miały się odbywać w niedzielę?.. Dawniej urządzano je z zasady w dzień powszedni, aby każdy uczestnik mógł wziąć sobie urlop bodaj na kilka godzin celem wypełnienia obywatelskiego obowiązku.

Jednem słowem, generalna klapa na całej linii i nie dziwiłbym się wcale, gdyby się te wybory nie udały. Byłaby to dobra nauka na przyszłość dla tych, którzy je urządzali, że się nie powinno zrywać ze staremi tradycyami, uświęconemi tylolętnią praktyką.

Po restauracyach, knajpkach i kawiarniach omawia się wprawdzie kandydatury, ale cóż pomoże podnoszenie zasług jednego lub jednej, gdy się ma głosować na całą listę?..

Rozmawiałem z przedstawicielami różnych stronnictw i doszedłem do przekonania, że socyaliści są pewni, iż najwięcej szans ma ich lista (nr. 1), mniej lub więcej zrównoważeni i politycznie uświadomieni burżuje są zdania, że przejść mu i blokowa „piątka“, niezawiśli żydzi utrzymują to samo o „szóstce“, syoniści o „siódemce“, słowem, każde ze stronnictw jest pewne, że dopiero wtedy będzie dobrze, jeśli z urny wyjdą jego kandydaci. Dużo się też mówi i o liście nr. 11, która ma podobno wielu wielbicieli.

Jak żydzi przed Paschą żegnają się z chlebem, aby się objadać przez ośm dni tylko macą, tak i my w piątek przed wyborami pożegnaliśmy się z wszelkimi napojami alkoholowymi, ale tylko na dwa dni, by je tem serdeczniej powitać w poniedziałek. W dniu tym ustaje też i kontumacya wódczana, z czego najbardziej zadowoleni są panowie szewcy ze względu na swój tradycyjny *blaumon'ag*.

Od czegóż jednak dał Pan Bóg człowiekowi głowę? Nie tylko od tego aby na niej nosił kapelusz lub czapkę, ale także w niej i mózg. A ten mózg nauczył już niejednego różnych wybiegów, jak się o tem przekonałem z ust pewnego obywatela, który zawczasu wystarał się o świadectwo lekarskie, na podstawie którego nawet w okresie najściślejszej abstynencyi, jako chory na żołądek, kiszki i coś tam jeszcze, uprawniony jest do łyknięcia sobie w każdej aptece kieliszka koniaku. A to wtedy nie trunek, lecz lekarstwo i prawdziwszy niż w knajpie, a co ważniejsze, tańszy. Z tem tylko ma kłopot, że aptek teraz tyle się w Krakowie namnożyło, że zmitręży pół dnia, a nawet i więcej, nim wszystkie obejdzie.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, w okolicach gdzie alkoholu zupełnie używać niewolno, posługują się obywatele w tym celu grzechotnikiem, którego ukąszenie leczy się pojeniem pacyenta alkoholem. U nas, niestety, grzechotników niema, choć na obecny okres przedwyborczy byłoby się ich stanowczo przydało kilka sztuk. I źle zrobił pan Wilson, że ich nie przywiózł ze sobą do Europy. Byłby sobie zyskał wdzięczność wielu anti-elenteryków.

Równocześnie z ogłoszeniem wyborów pojawił się dekret naczelnika państwa polskiego „o postanowieniach karnych za przeciwdziałanie wyborom do Sejmu i wykonywaniu obowiązków poselskich“.

Ogłoszenie go uważam za zupełnie słuszne i sprawiedliwe, muszę też podnieść jego ludzkość, choć bowiem za każde przewinienie w tym kierunku grozi surowemi karami, w artykule czwartym mówi wyraźnie, że karygodne jest tylko sztuczne zanieczyszczanie powietrza w lokalu przeznaczonym na zebrania, przez co należy rozumieć, że nie będzie pociąganym do odpowiedzialności ten, kto się czegoś podobnego dopuścił, ale... w sposób naturalny. Wiadomo zaś, że człowiek w różny sposób reaguje na różne zewnętrzne wrażenia, a zgromadzenia wyborcze i same wybory dają do nich bardzo częstą sposobność. Zaznaczono zaś, że nawet samo usiłowanie będzie karane. A kara nie lekka bynajmniej, gdyż przestępcy grozi więzienie od roku do lat trzech, w szczególniej zaś na uwzględnienie zasługujących wypadkach od trzech do sześciu.

O wyborach więcej pisać nie myślę, resztę zostawiając sobie do przyszłego numeru. Wtedy będziemy już wiedzieć z zupełną pewnością, jak wygląda nasza narodowa reprezentacya, mająca postanowić, jak się mamy urządzić w naszym własnym kraju, jeśli wogóle z niego coś dla nas pozostanie, gdy mamy tylu kochanych sąsiadów, czekających tylko na sposobność, by nas skubnąć i to jak najmocniej. O rosyjskich bolszewikach i sprzymierzonych z nimi Niemcach nie mówię, boć to są i były zawsze kanalie, dybiące na naszą zgubę, ale mam na myśli pobratymców Czecha i Rusa, którzy byli podobno rodzonymi braćmi Lecha. Stare zdanie mówi, że ojciec miał trzech synów, ale w tym wypadku jeden tylko był porządny, choć zbyt dobroduszny, dwaj inni to draby z pod ciemnej gwiazdy! Utopiliby nas w łyżce wody a sami przy tem krzyczą, że my ich krzywdzimy!... Zwłaszcza Czesi mają nienasycony niczem apetyt i wyciągają swą zaborczą łapę po „odwiecznie czeski“ Śląsk. Kto wie, czy nie zachce się im, dajmy na to, i Rzymu, także czeskiego, gdyż tam swojego czasu koncertowała ich orkiestra.

Z tej strony Czesi, z tamtej znów Rusini, czyli Ukraińcy, którzy dotąd Galicyę wschodnią uważali za ukraińską tylko po Nowy Sącz, a teraz, kto wie, czy nie posuną się aż do Żywca, skąd pochodzi pan Wasyl, obecnie jeden z największych ich polityków. Gdybym był jego ojcem, ożeniłbym młodziana, boć wiadomo, że, kto się ożeni, ten się odmieni, zwłaszcza jeśli znajdzie energiczną żonę, która się już o to postara i wybije mu głupstwa z głowy. A taka energiczna kandydatka do stanu małżeńskiego znalazłaby się łatwo.

I teraz dopiero widzimy, jak się to dobrze stało, że pana Karola Stefana z Żywca nie obraliśmy królem polskim. Dziś musiałby toczyć wojnę ze swym własnym synem. Ale wówczas może użyłby swych ojcowskich praw i wziął nieznośnego bębna na kolano?.. Wielka szkoda, że tego teraz nie zrobił, skoro zawsze udawał takiego przyjaciela Polaków.

Papie, ze względu na dwu zięciów Polaków, to wmieszanie się synalka w wir życia politycznego i to w kierunku wprost przeciwnym temu, za jakim się sam zawsze oświadczał, nie musiało pójść w smak. Jako wyrozumiały na błędy młodości ojciec oświadczył otwarcie, że za postępki swego otroka żadnej odpowiedzialności nie przyjmuje, bo on ma swój rozum i wie co robi. Rozum, to, jak mówią filozofowie, bardzo dobra rzecz, ale trzeba go mieć, a tymczasem zbyt często się zdarza, że są ludzie, którym go brak, gdyż inny znów mędrzec mówi wyraźnie, że „kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera“.

I biednego Wilusia z Żywca widocznie ukarał Pan Bóg w ten sposób, gdyż normalny człowiek, nawet nie z rodziny pomazańców, lecz zupełnie zwykły śmiertelnik, w tak stosunkowo krótkim czasie nie byłby w stanie popełnić takiego szeregu głupstw, jak on. Widocznie jednak Wilusiowi źle się obecnie wiedzie, więc też nic dziwnego w tem, że młodzieniec zmienił swe chrzestne imię na Wasyl, by zerwać z przeszłością, a tem silniej połączyć się z narodem, który serce jego ukochało tak silnie, prawdziwie po ukraińsku!...

Imię Wasyl, czyli Bazyli, przypomina zresztą grecki wyraz „*basileus*“ (król). Wiluś, nie mogąc być królem *de facto*, choćby nawet na Żywcu, chce być bodaj tytularnym na Ukrainie.

Już to, przyznać trzeba, tato jest lepszym politykiem niż syn, gdyż za sobą kompletnie, tak, jak on, mostów nie spalił, nie wiedząc jeszcze, co będzie dalej i czy przypadkowo nie odżyje stara austryacka racya stanu, która mu może kazać znowu robić perskie oko w stronę Polaków. To też zapalił i Panu Bogu świeczkę i dyabłowi ogarek, subskrybując coś milion na polską pożyczkę państwową, choć ogólną to tajemnicą, że za papy pieniądze Wiluś Wasyl, czyli Bazio, agituje *contra* Polakom na Ukrainie.

Znieśliśmy już tyle, zniesiemy i to jeszcze, ale o tem tak łatwo nie zapomnimy.

Dzięki poparciu austryacko-niemieckiemu, a zdaje się i czeskiemu we wschodniej Galicyi jakoś się nie może uspokoić. Galicyjskim Ukraińcom miała przemówić do serca misya angielsko francuska, która niedawno bawiła w Krakowie i stąd udała się do Lwowa. Ale jaki będzie skutek tego przemówienia, dotąd nie wiemy. Rusin jest nieczuły na przemówienia, zwłaszcza do jego rozumu i uparty, szczególnie, jeśli mu się obiecało złote gruszki, choćby tylko, jak w tym wypadku... na wierzbie. A że im obiecano, nawet dużo i to na nasz rachunek, w to wątpić nie można.

Zupełnie tosamo mówi obecnie brat Czech, że mu austryacki Śląsk obiecała koalicya, choć członkowie wspomnianej wyżej misyi angielsko francuskiej twierdzą, że to fałsz. Obecność jednak francuskich oficerów przy operującej armii czeskiej daje dużo do myślenia.

Na razie powstrzymała czeską inwazyę dzielna ludność Śląska, zwłaszcza zaś górnicy, śpiesząc z pomocą nielicznej garstce wojska polskiego, rozlokowanego na granicy czeskiej. „Braciom“ przetrzepano hajdawery, ale nie można wiedzieć, czy zebrawszy nowe siły, nie spróbują znowu złożyć nam nieproszoną wizytę.

A my na obcą pomoc oglądać się nie możemy, ale musimy o tem pamiętać, że jesteśmy oddani sami sobie. Dotychczasowa mądra polityka różnych gabinetów, które zmieniały się, niczem obrazy w kinie, sprawiła, że nie mamy dotąd ani granic, ani wojska, ani wewnętrznego ładu, a przedewszystkiem pieniędzy, bo któżby tam nad tem łamał sobie swą głowę, gdy panowie ministrowie zajęci byli tak ważnemi sprawami, jak tem, czy Orzeł polski ma być w koronie czy bez, lub jakiego też jeszcze politycznego analfabetę powołać w skład rady ministrów by zespół był jak się patrzy!... Koalicya, na której pomoc bardzo liczyliśmy, ograniczyła się na wysłaniu różnych misyi politycznych i wojskowych (na tydzień bodaj jedna!...), które zapewniają bardzo głośno o serdecznej przyjaźni naszych sprzymierzeńców. Ale też i na tem koniec. Ameryka obiecała podobno jakieś tam „papu“ i coś do ubrania, ale jako praktyczna, gotowa to urządzić w ten sposób, że nadeśle nam cały okręt trzewików, lecz tylko z prawej nogi.. Każdy otrzyma jedną sztukę, a jeśli będzie grzeczny przez rok lub dwa, co stwierdzi świadectwem moralności i lojalności, otrzyma potem drugą, z nogi lewej i stanie się szczęśliwym posiadaczem całej pary „amerykanów“.

„Illustrowana Gazeta Polska“.

Do dzisiejszego numeru załączamy prospekt **„Illustrowanej Gazety Polskiej“**, która z dniem 3 lutego zacznie wychodzić w Krakowie pod redakcyą **Ludwika Szczapańskiego**. Jako wydawca w zastępstwie Spółki Wydawniczej, stow. zar. z ogr. por., podpisuje **Stanisław Rymar**. Nowy ten dziennik zwraca się do **najszerszych kół czytelników**, ożywionych duchem obywatelskim i narodowym, którzy znajdą w dzienniku pełny obraz życia **wszystkich dzielnic** zjednoczonej Polski. Służąc **idei demokratycznej**, „Illustrowana Gazeta Polska“ w Krakowie zwalcza wszelkie **paskarstwo polityczne i gospodarskie**, wszelką demagogię, próbującą w mętnej wodzie łowić korzyści dla zacietrzewionych partyjnych agitatorów i igrającą błędnie z ogniem. Rzeczypospolitej Polskiej grożą **z zewnątrz i wewnątrz wielkie niebezpieczeństwa**. Trzeba nam tedy rozważnie kłaść fundamenty i budować dach nad głową, a nie wdawać się **w eksperymenty mongolsko-żydowskiego i niemieckiego komunizmu**.

„Illustrowana Gazeta Polska“ w Krakowie posiada **pierwszorzędne polityczne informacye z Warszawy, ze Lwowa, z Paryże, Pragi i Belgradu.**

„Illustrowana Gazeta Polska“ wychodzi codzień w południe i jest natychmiast wysyłana na prowincyę, tak, że wyprzedza wszystkie inne dzienniki. Cena numeru 40 hal., prenumerata (z wysyłką) **12 kor. miesięcznie.**

Uprasza się żądać **numerów okazowych** „Illustrowanej Gazety Polskiej“ w Krakowie. Kto z Czytelników na prowincyi zażąda numeru okazowego kartą korespodencyjną, będzie przez kilka dni dziennik otrzymywał bezpłatnie. Administracya **„Illustrowanej Gazety Polskiej“** Kraków, ulica Szpitalna L. 36.

MINISTERSTWO SKARBU.

W wykonaniu dekretu oraz uchwały Rady Ministrów z dnia 3 listopada 1918 r. Ministerstwo Skarbu ogłasza niniejszem emisyę krótkoterminowych zobowiązań skarbowych (asygnat) 1918 r. na warunkach następujących:

1) krótkoterminowe zobowiązania skarbowe (asygnaty) 1918 r. zabezpieczają się całym majątkiem Państwa Polskiego i wszystkimi jego dochodami.

2) Ministerstwo Skarbu wypuszcza wspomniane asygnaty w odcinkach po 100, 500, 1000, 5000, 10.000 marek polskich, koron w walucie austryackiej oraz rubli.

3) Asygnaty będą oprocentowane w stosunku 5% rocznie, przyczem procent będzie wypłacony nabywcom za rok z góry przez potrącenie go z ceny sprzedażnej, z odpowiednim dyskontem w zależności od daty nabycia.

4) W dniu 1 listopada 1919 r. Skarb Polski wycofa asygnaty w drodze wykupu w walucie, w której asygnaty wydane zostały lub w razie przejścia Państwa Polskiego na nową walutę — w nowej walucie polskiej podług kursu, który obowiązywać będzie dla konwersyi wszelkich zobowiązań płatniczych.

5) Zapisy na powyższe asygnaty przyjmują:

Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, Towarzystwa Kredytowe Miejskie oraz wszystkie Banki Akcyjne i Domy Bankowe w swych instytucyach centralnych i oddziałach; Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowe i inne instytucye Drobnego Kredytu a także Kasy Powiatowe i poczty.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. [illegible]. Odpow. redaktor: [illegible]. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem [illegible].